Tomiki Misyjne.



Tomik III.

Tomiki Misyjne

Artykuły, opowiadania, wiadomości treści religijnej i etnograficznej.



Tomik III.

Cena: **20** hal.; **20** fen.; **10** kop.; **5** cts. am.

Do nabycia *w Sodalicyi św. Piotra Klawera, Kraków*, ul. św Marka 25.

TOMIK TRZECI

TREŚĆ TRZECIEGO »TOMIKA«:

KRAKÓW 1914.

NAKŁADEM SODALICYI ŚW. PIOTRA KALWERA.

Powstańmy!...

Czytelnicy kochani, ilu nas jest, wszyscyśmy w podróży. Czas na nią krótki, a cel daleki. Niejeden strudzony pochodem, lub pociągnięty ponętami drogi, jak motyl blaskiem ognia, zbacza, przystaje, lub wypoczywa, zapominając o przestrzeni jaka jego samego od kresu podróży dzieli i tych wszystkich, dla których wśród błędnych ścieżek, gdyby chciał ... byłby drogowskazem.

Jeśli należymy do tych, co zasiedli u biesiady wygodnego, bez troski o byt, życia; lub też pędzimy bez pamięci w odwrotnym, od celu naszego, kierunku wśród nawału spraw i interesów, albo jeszcze, jeśli gnąc się pod brzemieniem obowiązków, ustaliśmy wśród drogi i zniechęceni opuszczamy ręce; jeśli dla tej przyczyny lub innej wypoczywamy niebacznie na krótkim ziemskim przystanku: Czytelnicy kochani, powstańmy! Na odpoczynek czas będzie nieskończony, na pracę, trud i walkę — chwila tylko! Chwila, której za żadną cenę, ni cenę łez, ani złota, nikt nam nie wróci. Obecnie chwila ta jeszcze należy do nas, a więc do czynu powstańmy! powstańmy do pracy nad sobą i nad duszami braci naszych!...

Nie tylko my, ale i poganie mają chwilę jedynie na ziemi do przeżycia i oni »mijają jako kwiaty polne«. Jutro może być zapóźno, powstańmy dziś na ich ratunek! Czy dla podania ręki tonącemu czeka się jutra?

Dusze dziś, teraz, w tej chwili giną, pogrążając się na wieki! Rozdzierająca skarga Matki naszej, Kościoła Świętego, tak wymownie przez jednego z jej Synów oddana: »Nie mogę patrzeć na śmierć dziecka mojego!« w ciągu płynących po sobie wieków, brzmi ciągle.

Czy pojmujemy bezmiar szczęścia, jakie w tem jednem słowie »katolik« się mieści? A jeżeli zdolniśmy je objąć, jak wytłómaczyć żeśmy tak zimni, tak obojętni, co więcej — a czemu uwierzyć trudno — tak nieprzychylni niejednokrotnie wspieraniu misyi w krajach pogańskich!

»Przyślijcie nam księdza! załóżcie misyę u nas!« wołają w Afryce poganie i wskutek braku środków, braku sił słyszą odmowę... a serce nasze się nie wzrusza, wola nie rwie się do czynu?..

Czytelnicy kochani, wszakże to kwestya życia, lub śmierci dusz w tych słowach się zawiera!

Mówią nam, że sekty protestanckie na misye swe sypią złotem; że brudne fale pod znakiem półksiężyca grożą duszom ludów afrykańskich zalewem, a nas to nie trwoży?...

Jednakże wszyscyśmy do apostolstwa powołani, wszyscy więc społem do trudów i ofiar powstańmy!

Bodźcem do otrząśnięcia się z odrętwienia, jakie najlepsze chęci nieraz paraliżuje, oby się stał ten III Tomik!

Jestto garść luźnych faktów, opowiadań, jużto smutnych, już wesołych, już głębiej dających do myślenia, ale we wszystkich, w tej lub innej formie, dźwięczy nuta: »Na ratunek dusz powstań chrześcijaninie!«

A więc, Czytelniku kochany, powstańmy!

X.



Dziecko chrześcijańskie z Kilima-Ndżaro.

Poseł z Kongo przy Stolicy Apostolskiej w XVII stuleciu.

W znanem swem dziele o Rzymie, X. Biskup Gerbet, wyliczając rozmaite skarby, jakie po odkryciu Ameryki, najodleglejsze nawet krainy przesłały do stolicy chrześcijańskiego świata, w epoce najgorliwszego rozkrzewiania nauki Chrystusa, pisze między innemi co następuje:

»Bazylika Santa Maria Maggiore zawiera najwięcej pomników tego nowego okresu rozkrzewiania wiary. Prześliczny sufit głównej nawy zdobi pierwsze złoto, nadesłane z Ameryki. Azya jest również reprezentowaną. Na jednej z płaskorzeźb w kaplicy paulińskiej, widzimy posłów z Persyi i Japonii, przyjętych w Rzymie przez Papieża Pawła V. Na tej samej płaskorzeźbie znalazła także i Afryka swego przedstawiciela w osobie pewnego posła z Kongo, wysłanego również do tego Papieża. Umarł on jednak wkrótce po swem przybyciu do Watykanu, grób zaś jego znajduje się w kaplicy chrzcielnej kościoła Santa Maria Maggiore. Murzyni, zwiedzający niekiedy Rzym, stają zwykle zadumani i wzruszeni przed tym pomnikiem. Afrykańska głowa i biust z czarną twarzą, odbijającą się na tle białego marmuru grobowca, strój kongijski, tudzież długi napis, stanowiący jakby oznakę czci i szacunku względem zmarłego, wszystko to budzi w murzynach niezwykłe zajęcie, połączone niemal z uwielbieniem. Grobowiec ten, umieszczony w jednym z najpiękniejszych kościołów rzymskich, przepełnionym grobami znakomitych ludzi, oraz wznoszący się obok posągów Klemensa XII

i Benedykta XIV, mówi im daleko potężniej, niż wszelkie przemowy o zupełnej równości wszystkich synów katolickiego Kościoła. Słusznie też rzec można, iż grób ten Antoniego Nigrita jest jakby wymownym i pełnym znaczenia symbolem odrodzenia ich rasy.«

Następnie pobożny pisarz zaznacza w sposób nadzwyczaj zręczny i z rozrzewniającem niemal uwielbieniem, że kongijski ów książę, którego śmiertelne szczątki spoczywają w kościele Santa Maria Maggiore, zwanym także kościołem św. Żłóbka, spełnia obecnie u Zbawiciela czynność jednego z trzech Mędrców, prosząc zarazem o światło Ewangelii dla swej rasy, pogrążonej w ciemnościach błędu.

Na uwagę zasługuje również ta nader charakterystyczna okoliczność, że grobowiec murzyńskiego księdza w chrzcielnej znajduje się kaplicy. Grób i kolebka jakże to wymowny i wspaniały kontrast! Czyż nie rozrzewniającym jest fakt, że tam właśnie, gdzie syn błędu otrzymał życie łaski, spoczęła także ziemska jego powłoka, aby kiedyś w dniu chwalebnego zmartwychwstania połączyć się znowu z nieśmiertelną jego duszą?

Nie omieszkaliśmy też postarać się o jak najdokładniejszą kopię napisu wyrytego na grobowcu kongijskiego księcia i umieszczamy go tutaj najprzód w dosłownem brzmieniu, a następnie w przekładzie:

MARCHIONI ANTONIO NIGRITAE
REGIO CONGI ORATORI
QUEM PAULUS V NONDUM PERACTA LEGATIONE
IN VATICANO MORTUUM
IN EXQUILIIS FUNERAVIT
URBANUS VIII
QUI PRIMUS ROMANORUM PONTIFICUM
A REGIBUS CONGI
PER ORATOREM JOANNEM BAPTISTAM VIVES
SOLEMNE CHRISTIANAE OBEDIENTIAE
IURAMENTUM EXCEPIT
SEPULCRUM EXTRUXIT
PONTIFICAE CHARITATIS MONUMENTUM
A. D. MDCXXIX PONT. VI.

Księciu murzyńskiemu Antoniemu — posłowi króla z Kongo — który nie skończywszy swego poselstwa u Pawła V — umarł w Watykanie — i z rozkazu tegoż samego Papieża na Eskwilinie został pogrzebanym — Urban VIII — pierwszy z rzymskich papieży — który od królów Kongo za pośrednictwem posła Jana Chrzciciela Vives — otrzymał uroczystą przysięgę chrześcijańskiego posłuszeństwa — kazał wznieść ten pomnik jako najwyższą oznakę chrześcijańskiej miłości.«

Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada,
Niechaj świat Boską chwałę opowiada;
Pan ma narody wszystkie pod nogami,
Jego się chwała wznosi nad gwiazdami.

(Ps. 112. — Jan Kochanowski)

Początki działalności Misyonarzy afrykańskich z Lyonu.

W pierwszych dniach 1856 roku młody jeszcze Biskup de Marion-Bresillac powziął heroiczny zamiar poświęcenia się opuszczonym ludom Afryki. Bogaty doświadczeniem dwunastoletniej działalności w misyi indyjskiej, przedstawił Prefektowi Św. Kongregacyi Rozkrzewienia Wiary przedsięwzięcie swoje, prosząc o pozwolenie założenia misyi na Wybrzeżu Niewolniczem, wraz z kilkoma księżmi. Czuł to dobrze w duszy swojej, że narody europejskie mają obowiązek zniesienia nieludzkiego handlu niewolnikami, chciał przynieść im prawdziwą wolność synów Bożych, *wolność ewangeliczną*.

Plan jego został w Rzymie łaskawie przyjęty, ale zauważono, że siły jednego biskupa i kilku księży są zbyt małe dla skutecznego działania w misyi. Otrzymał przeto pozwolenie założenia stowarzyszenia, które miało utworzyć kolonię, wspierać i podtrzymywać interesa misyi.

Byłoto zaiste wielkie zadanie. ale Stolica św. tego żądała, Biskup uznał w tem głos Boży. Bog powierzając urząd jakiś, daje siły do godnego piastowania tegoż.

Biskup de Marion-Bresillac zajął się założeniem nie zakonu, ale stowarzyszenie księży świeckich, połączonych wspólną regułą i wspólnym celem.

Pierwszą siedzibę otworzył w Lyonie pod nazwą »Seminaryum misyi afrykańskich« i 8 już grudnia 1856 r. poświęcił Najśw. Pannie zawiązek nowej kongregacyi.

Każdy początek jest trudny, a szczególnie gdy odnosi się do dalekich stron, a skutek jego niepewny jeszcze. Tak i nasz ks. Biskup doznał niejednego zawodu, ale pełen ufności w Bogu, nie dał się zniechęcić przeciwnościami. Św. Kongregacya Propagandy chciała najpierw jednak zasięgnąć wiadomości, jakiego przyjęcia mogą spodziewać się misyonarze w tych stronach. Odpowiedziano, że księża za przybyciem swojem tamże zostaną w barbarzyński sposób zamordowani.

Nie mogła więc Propaganda przeznaczać synów swoich na śmierć tak straszliwą, a nie przynoszącą pożytku. Dlatego utworzyła wikaryat apostolski w Sierra Leone, a kierownictwo tegoż powierzyła Biskupowi de Marion-Bresillac.

W r. 1858 Biskup de Marion-Bresillac wysłał dwóch pierwszyah księży na nowe pole działania, a sam z jednym księdzem i braciszkiem udał się w maju 1859 do Free-Town. Miejscowość ta była w owym czasie nawiedzona straszną epidemią. Kapitan okrętu przedstawił Ojcu niebezpieczeństwo, grożące nowoprzybyłym, ale gorliwość sługi Bożego nie dała się niczem odwieść od powziętego zamiaru. Niebawem kapitan, patrząc na śmierć Biskupa, jego towarzyszy, oraz dwóch przedtem wysłanych bohaterów, ginących jako ofiary miłości bliźniego, sam zmarł oddając wiele przysług chrześcijańskich. Ostatnie myśli Biskupa de Marion-Bresillac skierowane były ku dziełu jego, które zaledwie w kolebce, tak ciężko przeszło próby, a według ludzkiego zdania pogrzebane być miało. Lecz założyciel i jego towarzysze nie zginęli dla tegoż dzieła, opiekowali się niem, pozostając nadal jego stróżami.

Młodzi wychowańcy seminaryum misyi afrykańskich pozostali wierni powołaniu swemu. Pius IX, wraz z wiadomością o śmierci założyciela, otrzymał zapewnienie, że synowie chcą pracować dalej pod sztandarem duchownego Ojca swego. Uzyskali w odpowiedzi błogosławieństwo

dla trudnego swego zadania. Św. Kongr. Rozkrzewiania Wiary uczciła odwagę seminarzystów; Dyrektor Seminaryum, otrzymał pismo, chwalące ich stałość, nie dającą się zachwiać nieszczęściami. Zarazem powierzono stowarzyszeniu misyę w Dahomeju i tak po śmierci założyciela spełniono jego najgorętsze życzenie. Dachomejczycy poznali światło Ewangelii. Wybrzeże Niewolników zamieniono w apostolki wikaryat, który objęty został również przez Seminaryum Misyi Afrykańskich. Pan Bóg nie opuścił tych, którzy w przeciwnościach w Nim ufność położyli; obudził w sercu niejednego młodego człowieka pragnienie poświęcenia się tymże misyom.

Dnia 5 stycznia 1861 r. udało się znowu trzech misyonarzy do Dahomeju. Stan tego kraju można przedstawić w kilku słowach. Szatan posiada tu wszechwładzę; o cywilizacyi jakiejkolwiek niema mowy; w kulcie straszliwym bóstw nie świeci żaden promień prawdy. Węże, piorun, szkaradne zwierzęta, jak również wyciosane bałwany są dla Dahomejczyków bogami. Ceremonię religijną stanowi ofiara z ludzi. Krew płynąć musi, aby żniwa się udały. Żadne ważniejsze zdarzenie nie obejdzie się bez rozlewu krwi ludzkiej, nigdy słońce nie zachodzi bez ujrzenia ofiary.

Zajmującym może będzie dla czytelnika opis naocznego świadka. Jeden z tamtejszych księży pisze:

»Dokoła królewskiego pałacu zbudowano domki napełnione ludźmi tak silnie skrępowanymi, że z pod ciała ściśniętego nie było widać powrozów. Nieszczęśliwi ci służyli jakoby za posłanie dla koni, znajdujących się razem z nimi. Oczekiwano zachodu słońca aby ofiarować ludzi i zwierzęta. Następnie udawano się na plac ofiary, położony nad morzem. Żadnemu białemu nie wolno być na tej uroczystości. Gdym nazajutrz skierował swe kroki do królewskiego pałacu, musiałem brnąć we krwi i spirytusie, pozostałościach tego barbarzyństwa. Doszedłszy do bramy, zobaczyłem w podwójnym szeregu 64 głowy wystawione na wysokich drążkach«.

Dreszczem przejmują opowiadania podróżnych o sali posłuchania króla n. p., wyłożonej szczękami ludzkiemi i ozdobionej czaszkami nieprzyjaciół.

Istnieje także zwyczaj zabijania wielu niewolników po śmierci jakiejś znaczniejszej osobistości, aby w podziemiu miała zaraz obsługę; dlatego też królowie mają na grobie formalną górę złożoną z ciał ludzkich. Ale dosyć, jeżeli już nie zawiele, o tych strasznych osobliwościach. O Panie Boże prawdy i światła! kiedyż Ewangelia odniesie zwycięstwo nad ciemnotą i barbarzyństwem?

Pośród tych okropności utorował Pan Bóg drogę chrześcijaństwu. Stare francuskie i portugalskie osady, jak również niewolnicy, wracający do kraju z Brazylii, zaszczepili niektóre oznaki chrześciańskie i cześć wielką dla imienia chrześcijan. Całe pokolenia uznają religię naszą za wyższą, a Boga białych stawią nad wszystkimi fetyszami. Ale poprzestają na tem, zatrudno im przyzwyczaić się do nowego życia, jeżeli już są w wieku dojrzalszym. Dzieci jednak swoje powierzają chętnie misyonarzom i tym tylko sposobem dla wiary św. coś zrobić można.

Słusznie też ziarno Ewangelii, siane w sercach murzynów, stwierdza słowa Jezusowe: »Kto we łzach sieje, z radością żąć będzie«. Słowa te były balsamem dla zwiastunów Wesołej Nowiny i choć zabójcza febra przerzedzała często ich szeregi, nowe siły zastępowały ciągle opróżnione miejsca. Lata mijały zanim przyzwyczajono się do klimatu i wynaleziono środki, aby znośniejszym go uczynić. I tak stopniowo usuwano większe trudności. Ziarno gorczycy wyrosło w drzewo rozłożyste, niejedna już zakwitła gałązka.

Cztery apostolskie Wikaryaty: Kości Słoniowej. Złotego Wybrzeża, Dahomeju i Beninu, oraz cztery prefektury apostoskie: Liberyi, Nigeryi Zachodniej i Wschodniej, tudzież Korogho, wraz z Dyecezyą Delty Nilu, są polem działalności energicznych następców ś. p. de Marion-Bresillac'a. Znajdujemy ich tam jako zwiastunów Ewangelii, jako szerzycieli Wiary i cywilizacyi chrześcijańskiej.

Niestety jednak gorliwość Misyonarzy musi być powstrzymana brakiem środków, a niebezpieczeństwo grozi, aby kraj ten nie został zarażony protestantyzmem. Czyżby katolicy w Europie nie odczuli boleści naszej, spowodowanej niemożnością szerzenia wiary św. i królestwa Bożego na ziemi?...

Ubogi wołał, a Pan go wysłuchał
i ze wszystkich ucisków jego
wybawił go.

(Ps. XXXIII. 7.)

Ach, te termity!

Ażeby łaskawi Czytelnicy, którym termity nie są znane z doświadczenia, powzięli pojęcie o szerzonych przez nie spustoszeniach: opowiem pokrótce, ile te owady wyrządzić mogą niespodzianek biednemu człowiekowi w ciągu 24 godzin. Dajmy na to, nie zdarzyło się to wszystko jednego i tegoż dnia, jednej i tej samej osobie, ale pojedyncze tego rodzaju fakta tak często się powtarzają w rzeczywistości, że ten, kto w ciągu dłuższego pobytu w Rhodezyi i okolicy zapoznał się ze stworzeniami temi bliżej: nie oskarży mnie pewno o przesadę.

Przypuszczam więc, iż opuściłeś dopiero podróżny namiot, żeby objąć nowy dom własny w posiadanie. Z dumą przyglądasz się budynkowi, zadowelenie twe usprawiedliwiającemu: podłoga wyłożona cegłą, sufit tkaniną bawełnianą obciągnięty, ściany «dagą», (mięszaniną piasku i gliny), wybielone. Prawdziwy pałac w porównaniu z dotychczasowem twem mieszkaniem! Ale... tak, wielkie twi w nim ale, o którem tymczasem najmniejszego niemasz pojęcia. Tego rodzaju budowa to istne termitów... Eldorado! i podczas, gdy ty szczęśliwie roisz, że dom ten jest przecie twą własnością, mieszkają w nim już inni właściciele.

Murarz mógłby ci coś powiedzieć o robotach, jakie jednocześnie z nim przedsięwzięli. Cieśla zastał ich u szczytu murów niecierpliwie oczekujących na to tylko, by dach został położony; nikt jednak ani słówka nie rzekł o tem, co tak często na własne widział oczy, nie chcąc przedwcześnie miłych snów ci rozwiewać. Cały

więc dzień w najlepszym humorze zajmujesz się urządzaniem nowej siedziby. Z uśmiechem zadowolenia rozglądasz się po miłem swem mieszkaniu. Teraz, dla zaczerpnięcia świeżego powietrza możesz wyjść do miasta, którego stałeś się dziś obywatelem. Wyciągasz rękę po najlepsze swe ubranie, tam na ścianie wiszące, ale, o zgrozo! połowę go tylko, może nieco więcej, trzymasz w ręku, reszta gdzieś się ulotniła. No, niezupełnie; kontury stroju twego dają się wyraźnie widzieć w klejowatej szlamistej masie na ścianie. Roi się tam od białych punkcików, które unoszą najwidoczniej atomy drugiej połowy twego ubrania.

W oniemieniu padasz na krzesło. Piękny początek! Ani słowa!... Ochota do przechadzki opuściła cię najzupełniej. Gdy pierwsze minęło wzburzenie, chcesz wziąć książkę dla odzyskania zupełnej równowagi. Z obawą spoglądasz na ścianę w stronę półki. Ale nie! ci przyjaciele samotności twej na obczyźnie, znajdują się w największym porządku. Tych przynajmniej złośliwi psotnicy tknąć nie śmieli! Uspokojony sięgasz po jeden z ustawionych szeregiem tomów, lecz grzbiet oprawy odpada i zostaje w twem ręku; książka stoi na półce wprawdzie, lecz jest w gliniastą zamieniona masę, od której kawałeczki papieru, jak płatki śniegu się oddzielają, i tu roją się punkciki niemiłosiernych burzycieli domowego twego porządku. Szybko bierzesz jedną książkę po drugiej, by ocalić, co jeszcze do ocalenia pozostało; niewiele jednak uratować się daje; pomoc przyszła za późno!

Z uczuciem gorzkiego rozczarowania i zniechęcenia udajesz się na spoczynek, lecz i we śnie jeszcze trwa walka z termitami, roją się plany ich zagłady. O brzasku budzisz się z tej niespokojnej drzemki i patrzysz na podłogę koło łóżka. Uwagę twą zwraca kulisty przedmiot, którego wczoraj wieczorem tam nie było. Na wierzchu kulisty znajduje się otwór niezmiernie do otworu buta twego podobny. Dlaczegożeś był tak nierozważny, żeś zostawił na podłodze swe obuwie! Obecnie zamieniło się ono w kupę mrówek.

Żeby gniew, wywołany tem nowem niepowodzeniem, odrazu stłumić, wychodzisz z domu i, świeżem rannem powietrzem owiany, napawasz się widokiem wspaniałych cyprysów. Tu przynajmniej trud nie poszedł na marne. Jakże piękne one i smukłe! jak dumnie w górę się wznoszą! Lecz stój! A to co? Tam jeden pochylił się i martwe zwiesił gałęzie! Zbliżasz się, chcesz opatrzyć chore drzewo; zaledwie dotknąłeś, pada na ziemię. Straszne termity korzenie przegryzły. Tak, a dalej spostrzegasz wyłom w zielonej ścianie; to pozbawiony kory pień młodego drzewka i z liści ogołocone gałęzie... Ach, te termity!

Nagle rozlega się krzyk od strony domu, wyrywając cię z tych posępnych myśli i zmuszając do obejrzenia się poza siebie. We drzwiach stoi twój służący, krajowiec, ze zmienionym wyrazem twarzy i kijem od szczotki do zamiatania w ręku. Chciał właśnie pokój twój przyprowadzić do porządku, (co znaczy do nieładu), poszedł po nową szczotkę, lecz kij z niej tylko pozostał. Nie potrzebuje to już wyjaśnień; domyślasz się przyczyny.

Co się wyżej powiedziało, wystarcza dla dania pojęcia, jak straszną plagą kraju tego są termity; wyjątkowo tragiczny wypadek zasługuje jednak jeszcze na wzmiankę.

Nauczony doświadczeniem, poręczyciel mój zamknął swe kosztowności, papiery i t. p. w mocnej, cynkiem wyłożonej, drewnianej szkatułce, którą umieścił następnie na podstawie z cegły na środku pokoju. Po kilku dniach otwiera szkatułkę: pusta! wszystkie jego skarby znikły. Termity to przegryzły cegłę i drzewo, znalazły maleńki w blasze cynkowej otwór, przez który miliardy ich do wnętrza się dostały, zniszczyły wszystko, co nie było zanitowane, zostawiając dziurkowatą gliniastą masę, jako jedyny ślad cennej zawartości.

Podług notatek Misyonarza z nad Zambezy
O. Lebœuf S. J. (w »Zambezi - Mission - Record).



Na szczyptę tytoniu!

przez **O. Zappę, Mis. Lyon., Prefekta apost. Górnej Nigeryi.**

Gdyby tak który z Misyonarzy odważył się wziąć pióro do ręki dla wyrażenia prośby o jałmużnę na tytoń dla katechistów, niejeden znalazłby zapewno pomysł taki co najmniej nie na miejscu. Mówię niejeden, ale niezawodnie ani katechista z okręgu Alli, ani ja nie należelibyśmy do tych malkontentów, a dlaczego — wyjaśnię zaraz.

Szlachectwo pociąga za sobą obowiązki, *noblesse oblige*, mówią francuzi, a każdy kraj ma swoje zwyczaje i obyczaje, z ktorymi liczyć się trzeba.

W Egipcie wymaga etykieta, by gościa na kawę zaproszono; bez kawy odwiedzin niema; wolno ją podać w najmniejszej choćby filiżance, może nawet w naparstku, ale musi być podaną. Podobną rolę w północnej Francyi odegrywa jabłecznik, a w południowej — wino. Rzeczą gospodarza jest ofiarowanie tych napojów, gość rzadko od nich może się wymówić, listonosz zaś pomyłki tej nie popełnia nigdy.

Tu, w naszych krajach, etykieta wymaga fajki. Gospodarz, nie puszczający jej, wśród gości, w obieg, jest człowiekiem, co nie zna najbardziej elementarnych zwyczajów towarzyskich, nie wszedł jeszcze na pierwszy stopień tej drabiny.

Łatwo stąd pojąć, jak ta nieszczęsna fajka może stać się zmorą naszych katechistów. Stanowisko samo, jakie zajmują, zmusza ich do przyjmowania daleko więcej osób, niż to czynią inni, co jest właśnie powodem radości naszej, w ciągu tychto bowiem częstych odwiedzin katechista nieraz znajduje sposobność zarzucenia swej przestronnej sieci i ujęcia ryb najlepszych.

Mieszkańcy tutejsi, przeważnie rolnicy, w ciągu dnia przychodzą z trudnością, z natury więc rzeczy zebrania miewają miejsce wieczorem. W programie leży najpierw modlitwa wspólna, potem lekcya katechizmu; gdy ta zostanie ukończona, obecni nie śpieszą jednak do swych domostw. Jeżeli niełatwo im się zebrać, to rozejść się jeszcze trudniej. Dla nich to godzina pogawędki, ale dla katechisty chwila krytyczna. Przedłużanie lekcyi nic nie pomaga, odwleka tylko trudność, bynajmniej jej nie usuwając. Liczyć na zmęczenie słuchaczy po całodziennej pracy i na potrzebę snu do niczego nie doprowadza; murzyn bardzo jest wytrzymały; chce więc czy nie — katechista, z obowiązku gospodarza wywiązać się musi.

Idzie on tedy szukać wśród ciemności i po omacku znajduje pół liścia tytoniu ostatniego, jaki mu pozostał; gość, najmłodszy z towarzystwa, pokraje liść na odwrotnej stronie drewnianego półmiska i fajka nałożona zaczyna krążyć wśród gromady.

Powiadają, że położenie urabia człowieka. Prawda to, czy nie, niemniej jest pewnem, że katechista, na początku wzmiankowany, nie mogąc uchylić się od konieczności, ani też co wieczór dostarczać materyału de palenia, wpadł na myśl pogodzenia tych przeciwieństw i do następnego uciekł się fortelu.

Pewnego pięknego dnia, upewniwszy się należycie o wyjściu żony na targ, a dzieci na pranie bielizny na koniec wioski, zamknął drzwi chaty i zabrał się do zaprowadzenia zmian w fajce swojej. W tym celu wsunął do niej słomkę niezbyt grubą, by mogła wejść do rurki nie zatykając jej całkowicie, lecz i nie zanadto cienką by się nie wyślizgnęła nie w porę. Po dokonaniu tej ope-

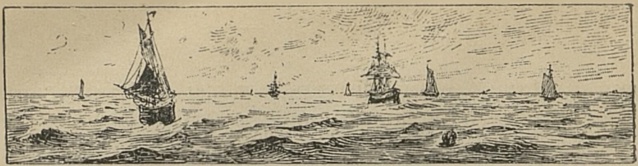
racyi postawił cenny przyrząd w małej trójkątnej framudze jednej ze ścian domu i z miną pewną czekał przebiegu zdarzeń

Wieczorem, gdy fajka w kurs poszła, próbowano ją zapalić to jednym węglem to drugim, lecz te zabiegi słabe tylko uwieńczyło powodzenie, Niektórym jakkolwiek lepiej udawała się próba z palącemi się słomkami, to i to było krótkotrwałe. Tymczasem katechista pochłonięty gorącą dysputą o pogodzie ze swoimi sąsiadami, zdawał się nie widzieć zawodu, którego palacze padali ofiarą. Gdy tak fajka, przechodząc z rąk do rąk, już kresu podróży niemal dobiegła i on spostrzegł wreszcie... że źle się coś pali. W istocie, zaledwie napoczęta, na miejsce spoczynku wracała. W taki to sposób zachowaną została etykieta, a honor i tytoń były uratowane!

Opowiadając nam o tym figlu, katechista wyznał jednak, że uciekał się doń rzadko i w dni deszczu tylko. Pomimo to, gdybyśmy mogli zaoszczędzić katechistom naszym tych dyplomatycznych wybiegów, zbyt oddalonych od gołębiej prostoty, bardzoby to było do życzenia. Dobre stosunki tylkoby na tem zyskały i uczynilibyśmy wielki krok do utrzymania pokoju. Bo jeżeli jak mówią, dobre wino serca rozwesela, to w naszych tu stronach dobra fajka przyczynia się do wesela jeszcze w większej mierze.

Patrz na pszczołę, co znosząc miód w komórki ciasne,
O wspólne dobro więcej dba, niźli o własne.

(Ks. A. S. Krasiński.)



Sześcioletni Misyonarz.

Niezbyt dawno paru misyonarzy wylądowało na jednej z niewielkich wysepek w pobliżu afrykańskiego wybrzeża. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu znaleźli tam na skale niekształtnie wyciosany krzyż, dokoła którego klęczała gromadka murzyńskich dzieci pod przewodnictwem białego, może sześcioletniego, chłopczyka. Mali murzyni byli również w tym samym mniej więcej wieku i wraz ze swym białym towarzyszem odmawiali: *Zdrowaś Maryo!* w łamanym hiszpańskim języku. Ponieważ w tamtych okolicachc chrześcijaństwo jeszcze się nie rozkrzewiało i nie było ani szkół, ani kościołów, misyonarze więc tembardziej się zdziwili, znalazłszy chrześcijańskie dzieci. Ze swej strony chłopczyk biały, ujrzawszy przed sobą nieznajomych w sutannach, domyślił się natychmiast, kim byli i zawołał łamanym hiszpańskim językiem: »Księża, to są księża!« Murzynkowie zaś zwrócili się również do nowoprzybyłych. Misyonarze uśmiechnęli się do nich życzliwie, pobłogosławili wszystkie dzieci i prosili białego chłopczyka, aby ich zaprowadził do swoich rodziców. »Nie mam rodziców« — odparł smutnie chłopczyk.

Następnie zaś opowiedział im, że podczas rozbicia się okrętu został wyrzucony na tę wysepkę i oderwany od swych rodziców, których już nigdy odtąd nie widział. Murzynów, którzy mu dali u siebie schronienie, nauczył on modlitw, odmawianych na łonie matki, i odtąd codziennie modlił się z nimi pod krzyżem.

— Czy twoi opiekunowie są chrześcijanami? — zapytali zdziwieni misyonarze.

— Chrześcijanami? — powtórzył chłopczyk — tego doprawdy nie wiem; widzą oni tylko, że klękam i czynią to samo, powtarzają za mną słowa modlitwy, której ich nauczyłem, ale nie jestem pewien, czy je rozumieją, bo nie znam ich języka. Nauczyłem ich także, jak mają czynić znak krzyża świętego i odtąd przechodząc koło krzyża, zawsze się żegnają.

— A któż postawił ten krzyż?

— Ja sam — odrzekł chłopczyk — pamiętam bowiem jeszcze krzyże, które widywałem w wielu miejscach w mojej ojczyźnie.

To powiedziawszy, biedne dziecię rzewnie się rozpłakało. Misyonarze zapytali je, jak się nazywa.

— Nazywam się Antonio — odpowiedział chłopczyk. Nie wiedział jednak ani nazwy swego rodzinnego kraju, ani też nazwy rozbitego okrętu. Dwóch rzeczy tylko nie zapomniał, to jest: *Zdrowaś Maryo* i znaku krzyża świętego.

Matko litości, proś za nas Boga,
Gdy nam dolega smutek i trwoga!...

(Regina Coeli. — Jan Kochanowski).

Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe!

Pewnego dnia rozeszła się wieść we wsi murzyńskiej, że nadciągnął Arab, posiadający przeróżne towary, który jednak tym razem nie chce ich zamieniać na gumę, lub kość słoniową, tylko na towar ludzki, gdyż jest handlarzem niewolników! Tam na końcu wsi nad stawem,



bawią się dzieci z całą swobodą dziecięcego wieku; życie ich to ciągłe wesele, każdy dzień to nowa uciecha. Tymczasem w opuszczonym szałasie, zeszło się kilku starszych murzynów i żywo rozprawiają z obecnym Arabem, spoglądając od czasu do czasu w stronę stawu.

— Kończmy! — zawołał pewien starzec — dodaj jeszcze strzelbę i trochę soli, a w zamian oddam ci najpiękniejszego z moich synów; popatrz się, oto ten duży chłopiec, co się tam bawi!

— Ciebie doprawdy trudno zadowolić! Ale ja za nic nie oddaję mych bogactw. Taki chłopak nie wytrzymałby nawet niewygód podróży. Zeszłego roku z dziesięciorga twych dzieci dwoje w drodze zmarło. Dziękuję za chłopaków, wolę dziewczęta, te są dobrym towarem; jeżeli więc chcesz, to za jedną strzelbę biorę jedną z twych córek.

— Córkę! — przerwała jedna z kobiet — ja ich mam cztery i jedną z nich chętnie ci sprzedam, ale musisz mi za to dać dużo tej dobrej soli, co się na języku rozpływa, a którą biali ludzie do was dowożą.

Przywołują biedne dziewczęta pod pozorem obejrzenia skarbów obcego kupca. Nadbiegają wesoło skacząc, śmiejąc się, przyglądając się pięknym towarom, których nowość olśniewa je; podczas tego przypatruje im się bacznie kupiec; tak jak na europejskim jarmarku sprzedający podnosi i wychwala zalety swego towaru, tak samo dzieje się tutaj przy oburzającym handlu ludzkim i to ze strony własnych rodziców!

Dzieci śmieją się i żartują, nie domyślając się niczego, rodzice tymczasem spoważnieli, sprzedaż została dokonana. Nagle rzucają się handlarze na nieszczęsne ofiary i podczas, gdy matki z rozkoszą smakują wytargowaną sól, mężczyźni wódkę piją, dzielą się bronią i materyami, handlarze wynoszą się ze wsi ze swoją zdobyczą.

Następny dzień jest dniem łez. Dziatwa nie bawi się już nad stawem, bezrozumne matki gorzko opłakują swą stratę. W opustoszałej wsi parę brudnych jaskrawych szmat przypomina oburzający handel, który odbywał się tu wczoraj.

Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe! Ci sami rodzice, w parę tygodni zaledwie, rozpoczynają ten sam ohydny targ olśnieni nowem bogactwem Arabów.

Czy myślicie może, że takie jarmarki są czemś niezwykłem? Nie, istnieją bowiem całe pokolenia, które z tego tylko żyją; a, dzięki ich chciwości, całe wsie Wybrzeża przepełnione niewolnikami, pochodzącymi z głębi kraju. Są to ofiary dzikości wyrodnych rodziców.

Opisy misyonarzy, którzy własnemi oczyma na to patrzyli, świadczę jasno, że handel niewolnikami w całej jeszcze pełni istnieje w Afryce. Tylko prace apostolskie misyonarzy mogą z czasem zmienić te barbarzyństwa, uszlachetniając powoli obyczaje. Naszym więc obowiązkiem, kochany czytelniku, jest misye wspomagać i z niemi gorliwie współdziałać.

Choćby człowiek dał wszystką majętność swoją, jeszcze to niczem jest.

(Pieśni VIII. 7. 3.)

Za wiarę.

Z życia Ojca Trilles'a, Misyonarza w Gabunie.

(Afryka zachodnia).

Jedna z moich małych dzieweczek chrześcijanek, została sprzedaną, przez swego ojca, staremu, ohydnemu, okrutnemu poligamiście, jako żona, a raszej niewolnica. Pomimo, serce rozrywających, skarg i błagań, przemocą zawleczono biedne dziecko do osławionej wsi pogańskiej, *Esis*. Jakże często my, misyonarze, musimy być świadkami scen podobnych, nie mogąc im zapobiedz!

Wprędce rozpoczął się dla małej Noeli długi łańcuch cierpień, udręczeń bez przerwy, które męczeńska śmierć koroną zwycięstwa uwieńczyć miała. Noelia była, jak nadmieniłem, chrześcijanką, zdecydowaną wiary swej za żadnę nie odstąpić cenę. Małżonek jej, a właściwie jej tyran, wiedział o tem, użył też wszelkich sposobów, by skłonić ją do obrzydliwości i błędów fetyszyzmu. Napróżno! — dziecko się opierało. Niejednokrotnie ciężka pięść okrutnika trafiła w niewinną głowę Noeli; niejednokrotnie brutalne obchodzenie się sińcami i ranami delikatne pokryło ciało. Napróżno: mężne dziecko stawiło opór. Pięść, nóż, bicz ze skóry hipopotama, ogień nawet nie były w stanie złamać tej bohaterskiej odwagi.

Teraz jednak wymyślił kat okrutny inny sposób: jeden koniec długiego łańcucha przytwierdzony został do szyi, drugi — do nogi nieszczęśliwego dziecka; w środku zaś łańcucha znajdował się długi, żelazny kołek. Gdziekolwiek udawał się nieludzki małżonek: na polowanie, w podróż, do lasu, na robotę; tam i Noelia iść musiała. Żelazny kołek wbijano w ziemię, a biedne dziecko pozostawało doń przykute, jak u nas uwiązują cielęta lub krowy. Godziny, dni całe, stosownie do humoru swego władcy, musiała mała bohaterka w tej męczeńskiej spędzać postawie i nie znalazła się litościwa ręka, coby spalone pragnieniem zwilżyła usta, lub posiliła wyniszczone ciało. Gdzieżtam! Świadkom jej udręczeń litość na myśl by nawet nie przyszła. W oczach tych zaślepionych pogan, nie była ona niczem więcej jak nieposłuszną żoną, zbuntowaną przeciw panu swemu — niewolnicą!

Na wieść o cierpieniach drogiego dziecka udałem się natychmiast do Esis. Po co? Czy żeby uwolnić nieszczęśliwą? O, mój Boże! Są chwile w których misyonarz spoglądać musi z niewysłowionym bólem serca na brak środków zaradczych, jakimi rozporządza. Pieniędzy!... pieniędzy!... Tylko trochę pieniędzy!... Jakże chętnie wysączyłby on krew serca swego kroplę po kropli, gdyby mógł ją w złoto zamienić dla złagodzenia bezbrzeżnej, otaczająeej go niedoli!... Trzeba tylko kilka setek franków, by biednemu drogiemu dziecku wrócić wolność!...

Prowadzenie nieustanne za sobą ofiary, od kilku dni zmęczyło tyrana; Noelia, której nogi skuto długim, ciężkim, uniemożebniającym ucieczkę łańcuchem, została teraz zamkniętą w chacie, aż ulegnie. Naprożno! — dziecko pozostało niewzruszone. Dowiedziawszy się o tem, skorzystałem ze sposobności odwiedzenia jej. Ciemna noc sprzyjała mym zamiarom. Zbliżyłem się do chaty. Wszystko pogrężone było we śnie głębokim: psy nawet, moich cichych zdawały się nie słyszeć kroków. O wejściu do mieszkania oczywiście nie było co myśleć, w ścianach wszakże z bambusu liczne znajdowały się szpary.

— Ojcze, czy to ty? — odezwał się słaby głos z wnętrza budynku.

Poczem nastąpił między nami święty, wzniosły dyalog, zakończony słowami rozgrzeszenia; gdy te zmyły z niewinnej duszy Noeli i najmniejszy błąd nawet, poczęła ona modlić się gorąco za swego prześladowcę, a misyonarz — *płakał.*

Następnego poranku wieś opuściłem, nie mogąc dziecku zostawić słowa pociechy, ani okrutnemu tyranowi wyrzutu uczynić; spotęgowałoby to wściekłość tego potwora, ja zaś byłem *bezsilny*!

W lasach Afryki podzwrotnikowej, spotyka się między innemi drzewo, o białej korze i głęboko wyciętych lisciach, wydające przyjemnej woni sok kleisty. Na szczycie tego drzewa, widzieć można niekiedy bezkształtną ciemną masę: jest to olbrzymie gniazdo termitów, którego, na biliony liczyć się dający, mieszkańcy ciągle z góry na dół i w przeciwnym kierunku odbywają wędrówkę, niosąc w swych potężnych szczękach wszelkiego rodzaju roślinną i zwierzęcą zdobycz. Jest to gatunek czarnych, dużych, niezmiernie żarłocznych mrówek; owady te, gdy raz coś pochwycą w swe szczęki, dadzą się rozerwać raczej, niż pozwolą wydrzeć sobie łup zdobyty. Biada temu, kto w ich moc się dostanie! W ucieczce jak najśpieszniejszej tylko znaleźć może ocalenie.

Noelia trwała zawsze w swym oporze. Ach, nadszedł dzień niewypowiedzianie smutnej, a jednak tak radosnej pamięci, w którym zaciągnął tyran wątłe dziecko do tego drzewa, przywiązał je mocno i sam się oddalił.

Nieraz ta straszna kara bywa wymierzana nieposłusznym niewolnicom. Zdrowa, silna kobieta, z rozpaczliwem wytężeniem sił wszystkich, może prowadzić czas jakiś z mrówkami walkę. Po upływie dwóch do trzech godzin zostaje odwiązana, omdlała wprawdzie, chora, ale żywa. Jak długo wszakże opierać się mogła delikatna, długiem męczeństwem osłabiona, Noelia? Jak długo broniła się ona, cierpiała?... Jakie były ostatnie jej myśli,

ostatnie westchnienia?... Żaden człowiek nigdy się o tem nie dowiedział! Gdy przyszli ją odwiązać, walka już była stoczona, palma zwycięska — zdobyta!

Zaledwie we trzy miesiące potem udało mi się przybyć do Esis. Chciałem zwłoki dziewiczej męczennicy odpowiednio pogrześć, jej zaś nieludzkiemu prześladowcy i tegoż wspólnikom otwarcie przekonanie moje o ich ohydnym wyrazić czynie. W lesie wskazano mi dół, a w nim — zbielałe już kości, były to resztki Noeli; w oddalonej zaś, nawpół zapadłej chacie, ujrzałem pokryty ohydnymi wrzodami, odepchnięty przez wszystkich, wzgardzony, omijany, odrazę budzący, szkielet już zaledwie człowieka — to był tyran. I tam, u nóg mych leżąc, błagał wśród łez i łkania o naukę o ratunek, o polanie mu czoła odradzającą wodą Chrztu św., o błaganie, aż do śmierci męczonej żony, by mu łaskę u Boga wyjednała...

Otrzymał, czego pragnął...

Do ostatniej chwili dziecko się opierało i przebaczało.

U ludzi to niepodobne jest,
ale u Boga wszystko jest podobne.

(Mat. XIX. 26.)

Dla jednej duszy!

Przed laty znajdował się w Zakonie powszechnie znany nowicyusz, na którym wielkie i całkiem usprawiedliwione pokładano nadzieje. Młodzieniec ten był uposażony niezwykłymi darami ducha: posiadał przenikliwość umysłu, przekonywającą wymowę i porywający talent pisarski. Jakkolwiek pochlebnem wydać się może to świadectwo: niema w niem przesady. Po ludzku sądząc, musiała go czekać świetna przyszłość. Przełożeni obmyślili dlań, zdolnościom tym odpowiadający, zakres działania. Po wykonaniu ślubów i wyświęceniu na kapłana, miał on przystąpić do pracy sobie przeznaczonej. Tymczasem, nie wiedząc nic o tych planach, zaniósł młody zakonnik do przełożonego prośbę, która zamiary tego ostatniego pokrzyżowała. Prośba była wyrazem gorącego życzenie wyjazdu na misye oddalone. Przełożony nie chciał o tem słyszeć, uważając myśl tę za niemożebną do urzeczywistnienia, nierozsądną, nie na czasie i t. p. Że jednak proszący z najgłębszą pokorą trwał w swem pragnieniu: pozwolenie na rok jeden zostało udzielone. »Doda mu to nowego hartu« — rzekł sobie przełożony.

We trzy tygodnie później, młody kapłan wyruszał w podróż, nie dzisiejszym wygodnym parowcem, lecz okrętem żaglowym. Statek uległ rozbiciu, młody nasz przyjaciel jednak z garstką swych towarzyszy na małą dostał się wysepkę. Tu, podczas przymusowej wędrówki,

ujrzał leżącą za krzakami starą, białej rasy, kobietę, widocznie blizką śmierci. Odrazu zrozumiał ważność chwili; udzielił tej, od wszystkich opuszczonej, staruszce pociechy wiary świętej i nietylko pozostał przy niej do wydania ostatniego przez nią tchnienia, lecz jeszcze oddał ziemi jej zwłoki.

Wkrótce doświadczył na sobie, jak dalece złośliwa gorączka była powodem znalezienia się na wyspie biednej kobiety. Następnego dnia okręt francuski zabrał rozbitków; ale zaledwie wypłynęli na pełne morze, młody misyonarz został tąż samą zabójczą chorobą dotknięty, cierpiał dni kilka, poczem umarł.

Wieść ta, gdy doszła do Rzymu, jak gromem raziła przełożonego i Zakon cały. Pierwszy — tak wypadek ten wziął do serca i tak wyrzucał sobie, dane młodemu zakonnikowi zezwolenie, że ciężko zachorował. Podczas choroby miał sen, w którym objawionem mu zostało, że ten tyle obiecujący, tak uzdolniony kapłan, przeznaczony był do spełnienia jednego zadania tylko, a mianowicie do zaopatrzenia tej staruszki na drogę wieczności i gdy dzieła tego dokonał, został powołany do niebieskiej ojczyzny.

Świat byłby pewno zdania, że życie młodego kapłana bez pożytku zostało poświęcone; Bóg inaczej sądzi.

(Podług »St. Josefs Foreign Missionary Advocate.«)

Choćby stanęły przeciwko mnie wojska, nie będzie się bało serce moje. *(Ps. XXVI. 3.)*

Pan Wspomożyciel mój i Odkupiciel mój.

(Ps. XXVI. 15.)

ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE 1914.

»Tomiki Misyjne«

zawierają artykuły i opowiadania misyjne, wiadomości treści religijnej i etnograficznej.

Są one niezmiernie interesujące dla wszystkich, którzy się zajmują sprawą misyi afrykańskich, bądź z powołania, bądź z naukowych lub amatorskich względów, śledząc ich rozwój i postęp.

»Tomiki« nie są ani gazetą ani czasopismem, każdy »Tomik« jest niezawisłą od innych całością; tylko wspólny tytuł »Tomików misyjnych« i treść zaczerpnięta z życia misyonarzy i nawróconych murzynów wiąże je z sobą.

»Tomiki« godne są polecenia dla seminaryów, kollegiów, do bibliotek i czytelni katolickich.